

- Trudno, weźmiecie jakiegoś kneflorza – mówi sztygar.

Głupio mi jakoś tłumaczyć się:  
- Nie damy rady, nigdy nie robiliśmy w podszadze. Ziutek szturcha mnie w bok. Musiał odchodzić w milczeniu.  
- A niech cię diabli! – warknąłem, i krzyczę:

- Niech pan zaczeka, mogę spróbować!

Ziutek syczy przez zęby:  
- Na głowę upadłeś? Zostaw starego, dadzą radę bez nas.

Mówię jeszcze:  
- Ziutek, chodź, co ci szkodzi, tylko dzisiaj.

Widzę jednak, że nie pójdzie. Zrobił ryjek z warg – znak, że się boczy. Znam dobrze ten ryjek, tyle razy ustępowałem, by móc go nie oglądać, ale teraz, myślę sobie, muszę iść i mina Ziutka mało mnie obchodzi.

Podszadzka – łatwo powiedzieć. Ziutek wiedział, co robi. Co ja mówię? – nic nie wiedział. Myślałem, że nie dotrą do końca szczytu. Podszadzka to wszystko naraz: pył węglowy, pył kamienny, woda lejąca się na plecy, wspinaczka i zjazdy na tyłku; kapy, fele, siekiery, gwoździe, łopaty; huk, ogień, barykady i ta cholerna siatka, o którą wciąż kaleczą się dłonie; łączenie koryt w gigantyczną ślizgawkę na całej długości chodnika, i usuwanie zatorów. Nie mam pojęcia, jak długa jest ślizgawka. Z poziomu pięćset metrów do poziomu sześćset przy nachyleniu pokładu ze czterdzięci stopni – można obliczyć. Dwieście metrów? Może więcej? Na dole robimy „kiche”, przybijając siatkę do stempli pnących się do góry. Kicha ma kilkanaście metrów długości. Przy wlocie do kichy ślizgawka kończy się progami jak narciarska skocznia.

Montowałem ślizgawkę i kładłem na czym świat stoi. Dobrze, że Ziutek tek mnie nie widział. Kichę trzeba wypełnić lawiną kamieni – kilkadziesiąt

metrów sześciennych huku mknącego w dół i z piętnaście minut gęstego pyłu wirującego jak śnieg w świetle naszych lamp. Później przedłużamy kichę, odłączamy kilka rynien, wyjmujemy żelazne stemple, na ich miejsce wstawiamy drewniane, donosimy siatkę i fele, zbijamy wyżej nowe barykady. Musiał krzyżyć, żebym się spieszył. Zjeżdżam w kucki do pierwszej barykady i kładę się obok niego, opierając stopy o ścianę barykady poniżej nas. Musiał przyciska guzik – u kneflorza obsługującego taśmę powinna się zapalić czerwona lampka. Chwila ciszy. Nasłuchujemy. Początkowo słychać delikatne bębnienie, potem narasta szum przecinany stukotem pojedynczych kamieni. Na sekundę wychyliłem głowę i zobaczyłem snop iskier sunący z czarnej otchłani, jakby jakiś zwariowany, płonący pociąg wyjeżdżał z tunelu. Musiał trzepnął mnie po karku.

- Słyszoleś o linii Gustawa?! – krzyknął mi w ucho. - Na ta linia było Monte Cassino! Jo zech tam był!

- Co pan tam robił? – próbowałem przebić się przez huk do jego uszu. Niepotrzebnie otworzyłem usta, bo suche, mdłe ciepło wypełniło mi gardło. Zaczęłem kaszleć i wydawało mi się, że to nie spadające kamienie lecz mój kaszel narobił tyle hałasu. Kicha się wypełniła. Musiał przycisnął guzik – zielone światło u kneflorza – i po chwili skakały po blasze już tylko pojedyncze kamienie, które od czasu do czasu zmieniały kierunek i waliły w zaporę nad naszymi głowami. Położyłem się na plecach. Byliśmy powyżej odcinka, gdzie lało się na głowę, ale i tutaj pęczniały w szczelinie krople wody, odklejały się rytmicznie, spadały na nasze kaski, gumowce, łopaty i w nagłej, wypełnionej kurzem ciszy, przypominały cykanie zegarów.

- Co pan tam robił? – powtórzyłem.  
- Kaj?

- Na Monte Cassino.

- Był zech w drugim korpusie, leżeli my tak samo, ino powietrze było lepsze.

- I leżał pan inaczej – głową w dół.

Musiał poderwał się.

- Pieruna, mówia, że w drugim korpusie!

Miałem chyba głupią minę, bo roześmiał się. Odkręcił bidon, wlał do gardła trochę kawy, zrobił gulgoczące płukanie i wypluł.

- W Afryce był zech w niewoli u Anglików i Anders broł takich, jak ja. Na wzgórzu zech się nie nawojował, bo już pierwszego dnia mnie przysypało. Później był zech w Bolonii i Mediolanie.

Przystawił bidon do ust, zrobił kilka małych tyków i podał mi resztę. Wssałem się łapczywie w zimny płyn, nie wpuszczając powietrza do wnętrza bidonu. Gdy już nie mogłem ssać, przykleiłem bidon do górnej wargi i mocno dociskając przesunąłem na środek policzka. Uśmiechnął się.

- Tyś, pierunie, jest rzetelny – powiedział. - Werbus z ciebie i gorol, ale rzetelny.

- Nauczył się pan włoskiego?

Musiał nie odpowiedział, poprawił kask, zapiął bluzę pod szyją i zaintonował po włosku „Mamme”. Rozskrzeczał się i rozcharczał, ale wkladał w śpiew nie mniej serca niż ten mały Robertino, który łyż wyciskał z oczu. Świeże i chłodne powietrze napływające od dołu rozwiało i wypchnęło resztki szarej zasłony. Oddychając głęboko, patrzyłem na ryczącego Musiola i umorusane gęby chłopaków wyglądających zza sąsiedniej barykady. Zamknąłem oczy i wyobraziłem sobie włoskie miasto tonące w morzu cytryn i pomarańczy. Wydawało mi się nawet, że czuję ich zapach.

(cdn)

# Sopocki wrzesień

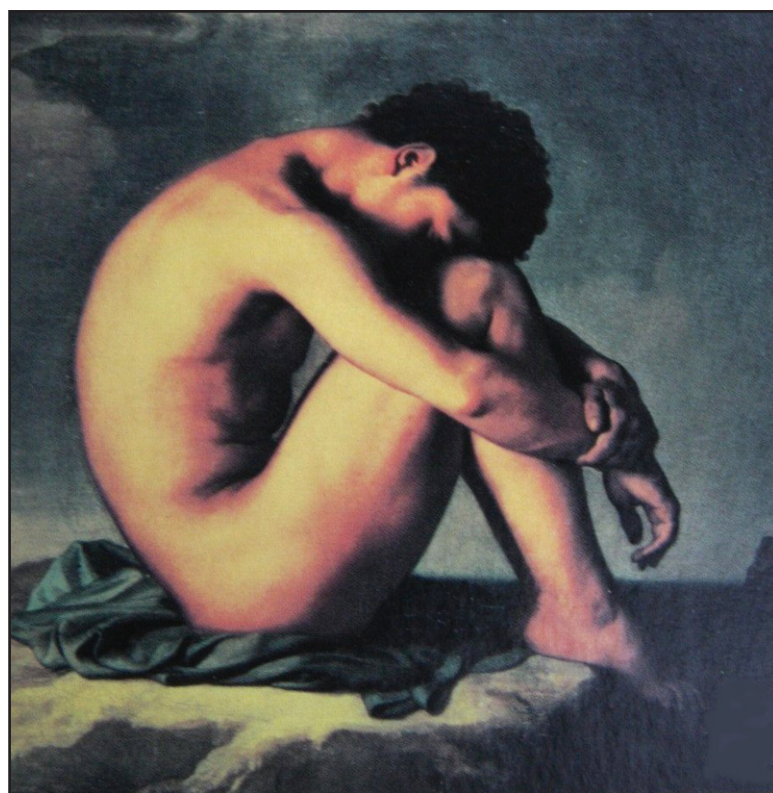
ANDRZEJ C. LESZCZYŃSKI

Pamiętam angielski film zatytułowany „System”. Także towarzysząca mu piosenkę. System dotyczył uwodzenia dziewcząt zjeżdżających na wakacje do małego nadmorskiego miasteczka. Uwodzicielami byli tamtejsi młodzieńcy, jak całe miasteczko – ożywający z nadejściem lata. Pełni dzikich pomysłów, spełniający się emocjonalnie jak nigdy dotąd. Gaśli dręczeni przeciwnością jesieni jeszcze zanim zaczęło gasnąć słońce. Do końca dostarczali podniecie rozszczębiotany turystkom. Tuż po wyjeździe ostatniej z nich zrzucają ze skały i topią w morzu fortepian, swoje krótkie złudzenia. Koniec lata.

Artur Rimbaud w „Sezonie w piekle” pisze: „Już jesień! – Czemu jednak żałować wiecznego słońca, skoro zaczęliśmy odkrywać boskie światło – daleko od ludzi, którzy umierają z porami roku” (tłumaczenie Artura Międzyrzeckiego).

Miasto jak z tamtego filmu. Senność, martwota od jesieni do wiosny. Nieśpieszne remonty lokali. Pustki na ulicach całkowicie zamierających o zmierzchu. Nieżyjący Peter Konfederat tykający w bramie porcję energii nie pokrzykuje już jak zawsze, nie pomrukuje. Jest po festiwalu.

Po festiwalu nadchodzi dla miasta taki sam czas, jaki musi nastąpić po



niezbyt trzeźwej nocy. Pocałujemy się, czy raczej pomyślimy o wymyciu zębów.

Sopocki wrzesień, wciąż jeszcze rozleniwiające słońce, z wolna czerwieniejące liście. Handlowa pamięć dopiero co minionego zgiełku. Stoiska, stragany, tymczasowe kramy, kafejki na

dwa dni, wszystkie można bez pośpiechu poznać przez dotyk.

Łagodny koniec nie całkiem swojego sezonu. Czas pokrywający się przymgloną błoną, która nie zrogowacieje. Pęknie znów na polecenie coraz cieplejszych promieni „wiecznego słońca”.

ROMAN SABO

\*\*\*

Prostokąt dwóch podwórek w trzech ścianach kamienic na wszystkie strony świata dwie głębokie przestrzeni z chmurą głośnych dzieciaków w ceglanej kieszeni

niewiedzących że szczęście to brak świadomości że pod ziemią podwórka mogą leżeć kości że ponieważ czas płynie są tu tylko gośćmi

na bogate dzieciństwo wśród zdarzeń bezmiaru w kamienicznej przestrzeni w poniemieckim kraju.

\*\*\*

graliśmy w piłkę wyzywaliśmy się chodzili po górach a nic ale to nic o tobie nie pamiętam z wyjątkiem nazwiska w którym byłeś o mało co lepszy

\*\*\*

Za leżących na biurku komórki laptopa ipoda pendrajwów skanera drukarki kopiarki do cedetów patrzę na ogród za oknem – klon rododendrony zmierzwiła fryzura górskiego wiązu buki wśród których popiskuje sokół skąd w nocy wypłoszył sowę W żołądku elektronicznego lewiatana wśród tej szemrzącej mieniającej się popiskującej słącej przyjmującej wibrującej najeżonej elektrycznością

[menażerii

przypominam sobie małowalowy czarnobiały Turkus z dyktą z tyłu z wymalowanym znakiem błyskawicy dwoma programami ciszą

[w czterze po 21.

50 lat temu rozrywką było głośne wołanie wozaka: kartofle kartofle kartofle zwiastujące zimę targi: węgiel wungiel wungielwęgpiel zachodzący na podwórko muzykanci od kapel po skromnego akordeonistę z puszką po konserwach w którą wkładał rzucane z okien aluminiowe

[monety

cyganie z lutownicami na dziurawe gamki w piegach odpryskującej emalii wysiadanie na krawężniku plecami w stronę ulicy i zgadywanie po odgłosach: furmanka dwa konie trabant ifa jeden koń

[syrena

i od wielkiego święta pobieda albo wołga

\*\*\*

czasami śnię inaczej i wtedy mieszkania otwierają się na oścież piwnice sięgają trzewi ziemi a ja chodzę po obejściu snów i zawsze wtedy gdy sen nabiera ziarnistości jawy wpadam w zasięki cyferek na przedramieniu wyschniętego na wiór [mężczyzny

\*\*\*

a czasem śnię rozsyp jakby ktoś pięścią bił w dom z klocków i koziołkują w powietrzu drzwi z wizytówkami lecą komety okien z ogonem firanek gruchocą pękające kafle węglowych pieców leje się woda z pourywanych kranów pył tak gęsty że można wyjadać łyżkami i twarze mającące sprzed czterdziestu lat przychodzą w takim śnie bezimiennie w gości

\*\*\*

brudne zawszone rozszczękane psy całkowitej abnegatki socjalistycznej kloszardki w brudnym zawszonym rozszczękanym mieszkaniu tajemnicę którego dawno już zapieczętowała śmierć ludzka i psia

\*\*\*

Ten rower który ci ukradli zobaczyłem oparty o mur kamienicy na Kaczyńcu skąd mogłem wiedzieć że będą cię prać po pysku za odmowę wykupienia własnego roweru

\*\*\*

pamiętasz nagle zacząłem rosnać bez opamiętania serce nie nadążyło przestałem